



DROGI

DO NIEPODLEGŁOŚCI

NIEPODLEGŁYM SZLAKIEM

JAROSŁAW SZAREK, PREZES INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

W stulecie ogłoszenia aktu 5 listopada Instytut Pamięci Narodowej – pod patronatem Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej – rozpoczyna cykl dyskusji historyków. Przypomnimy chwile zwątpienia i radości, ostrość podziałów i sporów: z Niemcami, Austro-Węgrami czy Rosją, ale także dramatów, gdy Polakom przyszło walczyć przeciwko sobie.

12 grudnia 1916, powitanie **Józefa Piłsudskiego** na Dworcu Wiedeńskim: Komendant znów w Warszawie

Niedziela 5 listopada 1916 roku była w Warszawie słoneczna. Na budynkach pojawiły się narodowe barwy, balkony udekorowano kobiercami z wizerunkiem Orła i Pogoni, tramwaje ustrojono biało-czerwonymi chorągiewkami. Wokół kolumny Zygmunta i na Krakowskim Przedmieściu zebrały się tłumy. W południe w Warszawie i Lublinie generał-gubernatorzy niemiecki i austro-węgierski Beseler i Kuk odczytali proklamację swych cesarzy, zapowiadającą utworzenie Królestwa Polskiego z własną armią. Nie określono jego granic, wskazując na ziemię wydarte rosyjskiemu panowaniu. Ale na ulice wyszły patriotyczne pochody, orkiestry grały „Jeszcze Polska nie zginęła”, w kościołach śpiewano „Te Deum”, a w Krakowie zabrzmiał dzwon Zygmunta. Stanisław Tarnowski pisał: „Dożyliśmy szczęścia, o jakim marzyli nasi poprzednicy. Wolna Polska!”. Były łyzy wzruszenia, gdy legionieści oddawali honory maszerującym weteranom 1863 roku, ale nie brakło też głosów, iż „już my dobrze pocujemy na plecach tę niemiecką niepodległość”...

Dla jednych akt 5 listopada był odzyskaniem niepodległości, dla innych – jej zapowiedzią, „autonomią” albo oszustwem, gestem mającym służyć pozyskaniu rekruta. Wieczorem w wypełnionej po brzegi Operze Narodowej wystawiano „Halkę”. Galowe przedstawienie rozpoczęło od hymnu „Boże coś Polskę”, powtórnego na żądanie publiczności trzykrotnie. Podobnie było w

Teatrze Rozmaitości. Podjęte chóralnie słowa „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie...” wyrażały przekonanie, że to jeszcze nie Niepodległa.

W stulecie ogłoszenia aktu 5 listopada wracamy do tych sporów. Instytut Pamięci Narodowej – pod patronatem Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej – rozpoczyna cykl dyskusji historyków. Ruszamy szlakiem, którym podążali nasi przodkowie. Przypomnimy chwile zwątpienia i radości, ostrość podziałów i sporów: z Niemcami, Austro-Węgrami czy Rosją, ale także dramatów, gdy Polakom przyszło walczyć przeciwko sobie.

W Wigilię 1914 roku legionieści zaczęli śpiewać pod Łowczówkiem kolędę „Bóg się rodzi”. „I oto z okopów rosyjskich Polacy z dywizji syberyjskich podchwycili pieśń i poszła w niebo z dwóch wrogich obozów! Gdy nasi po odśpiewaniu kolęd krzyknęli: »Poddajcie się, tam, wy Polacy«, nastąpiła chwila ciszy, a później – już po rosyjsku: »Sybirskije strielki nie zdajutsia«. Straszna jest wojna bratobójcza” – zapamiętał przyszły premier Felicjan Sławoj Składkowski.

Być może kilka lat później część z nich walczyła wspólnie w odrodzonym Wojsku Polskim. Dróg ku Niepodległej nie kreślono prostymi liniami. Gdy latem 1914 roku abp Aleksander Kakowski przedstawiał w Londynie dzieje ojczyzny arcybiskupowi Westminsteru z prośbą o wsparcie, ten nie wiedział nic o rozdartej przez zaborców Polsce i odsyłał do rosyjskiego ambasadora w Londynie, „bo on jest dobrym katolikiem”.

Inaczej było cztery lata później. Niepodległość wymagała jednak pracy i ofiary. Wysiłek naszych przodków chce pokazać Instytut Pamięci Narodowej. Przywołać uczestników tamtych wydarzeń, niekiedy na nowo odkryć kamienie milowe szlaku prowadzącego ku Niepodległej. Ruszamy drogą, którą podążali Polacy, zmagając się z zaborcami, obojętnością czy wrogością współrodaków. Tych, którzy dobrze się urządzili jako poddani obcych władców.

Chcemy zaprosić do tej podróży szczególnie młodzież, aby stała się kolejnym ogniwem łańcucha niepodległych pokoleń. Jednym ze stu przedsięwzięć na stulecie odzyskania niepodległości przygotowywanych przez Instytut Pamięci Narodowej będą debaty belwederskie. Rozpoczęliśmy je od dyskusji wokół aktu 5 listopada, w kolejnych pokażemy sprawę polską na arenie międzynarodowej, w tym Komitet Narodowy Polski, aktywność obywatelską, wysiłek militarny, losy Legionów...

Będziemy rozmawiać i o tym, jak zmieniło nas minione stulecie i czym obecnie jest dla nas niepodległość. Nie uchylimy się od pytania, jaką cenę bylibyśmy gotowi zapłacić za jej utrzymanie dzisiaj. Totalitarne doświadczenia XX wieku oraz współczesny kryzys cywilizacji łańcuchowej naderwały międzypokoleniowy łańcuch. Jednak tradycja niepodległej Rzeczypospolitej, wiernej swej przeszłości, jest dobrym spoiwem. Tyle razy już nas ratowała. Po nią więc sięgamy i na niej budujemy naszą przyszłość. ©©


DEBATA HISTORYKÓW ZAPROSZONYCH PRZEZ KANCELARIĘ PREZYDENTA RP I IPN

Hasło „Brac, ale nie kwitować!”, wzniesione przez Andrzeja Zamoyskiego w okresie odwilży politycznej przed wybuchem powstania styczniowego, sprawdziło się pół wieku później, na ziemiach zajętych przez Niemcy i Austro-Węgry.

Sesja w Belwederze. Od lewej: moderator Włodzimierz Suleja oraz uczestnicy dyskusji: Krzysztof Kawalec, Andrzej Chwalba, Wojciech Roszkowski, Grzegorz Kucharczyk i Tomasz Natęć

PROLOG WYZWOLENIA

List prezydenta Andrzeja Dudy do uczestników debaty:

Szanowni Państwo, Cieszę się, że na kilka dni przed Świętem Niepodległości spotykają się państwo w Belwederze, aby dyskutować o dziejowych drogach, które wiodły do zjednoczonej, niepodległej i suwerennej Rzeczypospolitej. Serdecznie witam wszystkich uczestników debaty. Wyrażam wielką radość, że grono wybitnych badaczy, reprezentujących różne środowiska, odpowiedziało na zaproszenie do dyskusji, która służy nie tylko popularyzacji historii i pielęgnowaniu narodowej pamięci, ale również wzmocnieniu obywatelskiej świadomości Polaków. To cel, który nas wszystkich łączy.

Dzisiejsza debata otwiera cykl naukowych spotkań historyków z okazji zbliżającej się 100. rocznicy odzyskania niepodległości. Obok obchodzonego w tym roku jubileuszu 1050-lecia chrztu Polski, 100-lecie odrodzenia Państwa Polskiego, to niewątpliwie najważniejsze wydarzenie, wokół którego koncentruje się nasza zbiorowa pamięć, poczucie uczestnictwa w historycznym łańcuchu pokoleń i duma z polskości. Chciałbym, aby przygotowania do tej doniosłej rocznicy służyły godnemu jej upamiętnieniu, a także narodowej refleksji. Jest to okazja, aby pogłębić wiedzę Polaków o tym, z jakim poświęceniem, trudem, odpowiedzialnością i mądrością, nasi przodkowie zdołali wybić się na niepodległość. Jest to również okazja, aby jeszcze bardziej umocnić w polskich sercach i umysłach instynkt państwowy, poczucie, że własne niepodległe państwo, umożliwiające historyczną

podmiotowość, jest wartością bezcenną, dla dobra narodu – wartością najwyższą.

Tego uczy nas lekcja polskiej historii. Historii, która nie jest zamierzonym czasem zamkniętym w muzeach i archiwach, ale stanowi wciąż żywe dziedzictwo, zbiór doświadczeń pomocnych w podejmowaniu także współczesnych wyzwań. Powinniśmy czerpać inspirację z tego, jak nasz naród potrafił przetrwać i ochronić wiarę, że jeszcze Polska nie zginęła.

Ciągle warto wracać do chwil, gdy zbiorowym wysiłkiem potrafiliśmy tak dobrze wykorzystać dziejową koniunkturę. Musimy pamiętać, że historia nie daje prezentów, ale sprzyja tym, którzy czynem upominają się o swoje prawa i drogie im wartości. Nikt lepiej od państwa nie wie, że kształt wydarzeń historycznych nie jest zdeterminowany. To oznacza, że wolności nikt Polakom w sposób nieodwołalny nie obiecał ani nie podarował, i że także dzisiaj, zgodnie z pouczeniem papieża Jana Pawła II jest nam ona dana, ale również zadana.

Znaczenie aktu 5 listopada 1916 roku, któremu poświęcona jest dzisiejsza konferencja, sprowadza się przede wszystkim właśnie do tego, że wolność kielkuje i rozrasta się tylko na podatnym gruncie. Akt 5 listopada uruchomił sekwencję ważnych wydarzeń, które sprawę polskiej niepodległości postawiły na powrót na arenie międzynarodowej. Nie doszłoby jednak do tego, gdyby nie zabiegi Józefa Piłsudskiego o stworzenie załączków Polskich Sił Zbrojnych, gdyby nie czyn legionowy, gdyby nie bohaterstwo Polaków w bojach, okazane m.in. w ważnej bitwie pod Kostiuchnowką. Nawet przy sprzyjającej koniunkturze politycznej znacznie istotniejsza od stanowiska obcych rządów, gabinetów, okazała się polska determinacja w dążeniu do niepodległości, siła napręd-

ce przecież zbudowanej polskiej armii i narodowa jedność we wznoszeniu fundamentów suwerennej Rzeczypospolitej. To wspaniała lekcja historycznej sprawności, która także dzisiaj jest dla nas źródłem patriotycznej dumy i energii. Życzę państwu owocnych obrad. Życzę, aby dzisiejsza debata i kolejne konferencje, pogłębiały świadomość historyczną Polaków i zachęcały do skupienia się wokół wielkiego wspólnego dobra, jakim jest niepodległa Rzeczpospolita.

Prof. Andrzej Chwalba: Niemcy nie potrzebowali polskich żołnierzy

Akt 5 listopada nie miał szczęścia w PRL. Nie miał również szczęścia w okresie międzywojennym ze względu na konflikt między Hansem von Beselerem i Józefem Piłsudskim. Dla Piłsudskiego Beseler był wrogiem numer jeden (z wzajemnością). Dlatego też w podręcznikach szkolnych, w różnych tekstach propagandowych akt ten nie mógł się cieszyć uznaniem. Dopiero w ostatnich kilkunastu latach za sprawą m.in. prof. Włodzimierza Sulei zwrócono uwagę na to, że nie byłoby szybkiej odbudowy państwowości polskiej, gdyby nie akt 5 listopada.

Skutki tego aktu są dla nas bardzo istotne, [także] patrząc z perspektywy lat 1918, 1919 i wojny z bolszewikami w 1920 roku. Polonizacja szkolnictwa i sądownictwa, która miała miejsce jesienią 1917 roku, objęła całość Królestwa Polskiego z wyjątkiem guberni suwalskiej.



Beseler uważał, że każde normalne państwo musi mieć armię. „Co to za państwo, które nie ma armii?” – dziwił się. Polacy w jego oczach nie mogli dowodzić armią; dla niego nie mieliśmy myśli państwowej, nie byliśmy dojrzałymi, nie mieliśmy własnych wykształconych kadr. Myślał: „My, Niemcy, was uzbroimy i nauczymy, jak się dobrze bić”. Stąd wprowadzono niemieckich instruktorów do powstającej polskiej formacji: Polnische Wehrmacht. Był to wynik przekonania Beselera i innych polityków niemieckich, że to gwarancja stabilności państwa, „bo jeśli ma to być część niemieckiej Europy, to musi być ona cywilizowana, dobrze zintegrowana z Niemcami”.

W tym momencie Piłsudski był zwolennikiem Niemiec. Piłsudczykowi zależało, aby powstała armia polska. Jednak Piłsudski nie porozumiał się z Beselerem. Beseler powiedział: „Armia bez Legionów będzie pod moim kierownictwem”. A Piłsudski na to: „Armia będzie pod moim kierownictwem, pod nadzorem polskich władz, a nie niemieckich. Z Legionami i Polską Organizacją Wojskową”. Spotkanie miało miejsce 12 grudnia w Belwedrze. Piłsudski po dwóch godzinach wyszedł, trzaskając drzwiami. Niczego nie uzyskał. Od tego momentu ich drogi zaczęły się rozchodzić.

Warto też dodać, że w założeniu Niemców miała powstać armia ochotnicza. Jednakże ta armia w listopadzie miała raptem 9 tys. żołnierzy. Niemcy nie potrzebują polskich żołnierzy. Potrzebują polskich gastarbeiterów.

I jeszcze jedno: polska wojna zaczęła się w Krakowie. Przed 1914 rokiem to Kraków był stolicą życia politycznego, życia niepodległego. Warszawa nie mogła nią być. To się zmieniło w miarę postępu sytuacji na frontach. Dopiero od aktu 5 listopada, a może nawet trochę wcześniej, centrum polskiej polityki staje się stolica, i tak już będzie, no właśnie, do dzisiaj!

Prof. Tomasz Natęcz: Liczyła się polityka Berlina

Dla mnie prologiem niepodległości było wielkie narodowe poruszenie z lat 1904–1908. Gdybyśmy uruchomili metody statystyczne i zdiagnozowali energię narodową poświęconą na walkę z wrogiem – we wszystkich trzech zaborach, bo mówię tutaj o wielkim poruszeniu zapoczątkowanym w zaborze rosyjskim, ale w innych formach udzieliło się ono również w dwóch pozostałych zaborach – to ta energia byłaby o wiele większa niż w roku 1918, kiedy społeczeństwo było wyniszczone czteroletnią okupacją, wygłodzone, pełne apatii.

Podzielał opinię prof. Andrzeja Chwalby. Profesjonalny historyk nie może mieć chyba odmiennej opinii niż ta, że jeśli chodzi o wydanie aktu 5 listopada, to decydowały względy międzynarodowe. Liczyła się wielka polityka Berlina. Akt 5 listopada miał być przecież pierwszą odsłoną ułożenia Europy po zwycięstwie Niemiec.

Trzeba też zaznaczyć, że to, co udało się Polakom zrobić, przygotować (struktury państwowe, siły zbrojne) było bezcennym kapitałem w roku 1918. Bez tego kto wie, jak w pierwszych dniach wyglądałby „start niepodległości”? Powiem z pozycji człowieka lewicy – chociaż w historii nie ma ludzi lewicy i prawicy – że się czasami zastanawiam, jak to było możliwe, że Piłsudski mógł wydać ordynację wyborczą w ciągu dziesięciu dni po objęciu urzędu.

Jak to zrobił? Był już gotowy tekst; Mieczysław Niedziałkowski pracował w odpowiednim biurze najpierw Tymczasowej Rady Stanu, a potem Rady Stanu. Nie trzeba było szukać autora, zwracać się do uczonych profesorów uniwersyteckich, bo ci pisaliby ordynację tygodniami i debatowali nad nią miesiącami. Tak więc to wszystko, co udało się przygotować Polakom w cieniu Aktu 5 listopada jest niesłychanie ważne. Projekt wielkiej wizji niemieckiej z hukiem się zawałił, a to pozostało...

Chciałbym tu wrzucić jeden element polemiczny. Moim zdaniem Piłsudski nie dlatego, jak mówił prof. Chwalba, niechętnie wracał do tego aktu, że nie lubił Beselera. Były miesiące, że go lubił. Najpierw Niemcy wymusili wyrzucenie Piłsudskiego z Legionów; trzeba było przez Austriaków „wpychać” go Niemcom do Warszawy. Następnie został Piłsudski członkiem Tymczasowej Rady Stanu z nominacji austriackiej, a nie niemieckiej, i w tym charakterze przyjechał do Warszawy. I w tym budynku, w którym dziś się znajdujemy, i w którym zresztą Beseler mieszkał i urzędował, panowie spotkali się ze sobą w połowie grudnia 1916 r. Wielkie tłumy witały Marszałka na ulicach Warszawy, by naciskać na Be-

selera. Znany zdjęcia z tego wydarzenia. Są to te same zdjęcia, które przez dziesięciolecia propaganda piłsudczykowska, a potem peerelowska, próbowała prezentować jako materiały z 10 listopada 1918 roku. A to są zdjęcia z 12 grudnia 1916 roku...

Było kilka miesięcy płomiennego romansu Piłsudskiego i Beselera. Panie profesorze (słowa skierowane do prof. Chwalby), to widać. Jestem autorem monografii o POW. Ileż to historycy POW się namęczą, żeby wykadrować oficerów niemieckich, obecnych na ćwiczeniach wojskowych! A jeżeli Marszałek budowałby ten czyn przeciwko Niemcom, to podczas ćwiczeń nie byłoby oficerów niemieckich, którzy wszystkiemu się przyglądali. Marszałek realizował swój wielki pomysł budowy armii polskiej. Liczył, że zrobi to u boku Niemców. Szybko się jednak rozczarował, przekonał się, że to niemożliwe i zmienił tę koncepcję. Ale przez kilka miesięcy żył w takiej nadziei.

Prof. Krzysztof Kawalec: Polacy nie zgłosili się do niby swojego wojska

Elementem tła w czasie, gdy Niemcy przygotowywali, a potem ogłosili swoją deklarację, były trwałe braki materiałowe, przede wszystkim na froncie zachodnim, oraz coraz dotkliwiej odczuwany przez Niemcy brak rezerw ludzkich. To odcisnęło piętno na konstrukcji dokumentu, w tym sensie, że proklamowana przez Niemców Polska nie miała granic, nie miała określonego zakresu suwerenności, miała mieć natomiast siły zbrojne, które jak można było oczekiwać, w przypadku pomyślnego ich zbudowania zostałyby przepuszczone przez „maszynkę do mięsa” na którymś z frontów.

Mówię o tym dlatego, że był to element „atrakcyjności” niemieckiej propozycji, z którego polskie elity w większym bądź mniejszym stopniu zdawały sobie sprawę. I również w większym bądź mniejszym stopniu skłonne były to albo akceptować albo traktować jako zło konieczne, jako ofiarę, którą naród powinien złożyć na ołtarzu niepodległości. Nasuwa się tu pytanie, czy rzeczywiście naród i jego elity mają obowiązek pójść za pierwszym wyciągnięciem przez kogoś biało-czerwonego sztandaru, za obietnicą, że później jakoś to będzie...

Polska mogła odrodzić się jako twór państwowy czy raczej quasi-państwowy. Dobrą tego stroną, oceniając cynicznie, byłoby to, że byłaby tworem zintegrowanym z wysoko rozwiniętym państwem środkowej Europy. Rządzona byłaby przez elity konserwatywno-liberalne, które odnosiłyby z tego korzyści. I to byłaby pewna perspektywa. Mam jednak wątpliwości, czy ona byłaby dla społeczeństwa polskiego w dłuższym okresie atrakcyjna.

Początkiem drogi do niepodległości była deklaracja wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, gdzieś w środku plasował się akt 5 listopada. Później była deklaracja prezydenta USA, gdzieś po drodze deklaracja tymczasowego rządu petersburskiego, a zwieńczeniem – deklaracja wersalska z 3 czerwca 1918 roku.

Roman Dmowski wysoko oceniał znaczenie aktu 5 listopada. Napisał, że „nic nam tak dalece nie pomogło”. Bardzo istotne było jednak to, że Polacy nie zgłosili się do niby swojego wojska. Niemcy chcieli powołać państwo polskie, abyśmy my, swoimi rękami, przeprowadzili pobór do wojska i zrobili im przyjemność, tracąc naszą młodzież w ich własnej wojnie. I nasza umiejętność zagrania tym atutem, postraszania naszych zachodnich partnerów, była czymś niesłychanie ważnym. Dla żadnego przywódcy politycznego nie było bez znaczenia, że po stronie przeciwnika liczba żołnierzy urosnie o milion.

Prof. Grzegorz Kucharczyk: Ożywiło się życie polityczne

Deklaracja wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza jest wątpliwa jako pierwsze ogniwo, gdyż wkrótce po niej nastąpiło dramatyczne wydarzenie, jakim było wycofywanie się, zgodnie z taktyką spalanej ziemi, armii rosyjskiej z ziem Królestwa Polskiego.

Wracając do aktu 5 listopada, myślę, że można by uzupełnić podtytuł dzisiejszej debaty zapowiedzią: „Prolog niepodległości i jedności ziem polskich”. Często patrzymy na historię I wojny światowej na ziemiach polskich tylko przez pryzmat zaboru rosyjskiego, zwłaszcza Kongresówki, podczas gdy akt 5 listopada miał bar-

dzo duże konsekwencje dla ożywienia życia politycznego w zaborze pruskim, czy szerzej – dzielnicy pruskiej. To widać w dokumentach, które przetrwały.

Pamiętajmy, że również Niemcy nie byli jednolici w ocenie sensowności aktu 5 listopada. Rząd pruski od początku bardzo protestował przeciwko myśleniu, że należy stworzyć jakąś namiastkę państwowości między Rzeszą a Rosją. Beseler jeździł do Berlina, aby przekonać ministrów pruskich do idei, która była opisana w akcie 5 listopada. Daremnie.

Rekwizycje, zwłaszcza jeśli chodzi o kwestie aprowizacyjne, były bardzo dotkliwe. Ale uniwersytet był otwarty, całe szkolnictwo – spolszczone. Były wybory do różnych stopni administracji samorządowej, lokalnej... Ten proces odbudowy państwowości był wyraźnie, co widać po reakcji, wbrew oczekiwaniom Niemców. Polacy podjęli działania zgodnie ze słowami Andrzeja Zamoyckiego z lat 60. XIX w.: „Brać, ale nie kwitować”.

Musimy rozróżnić deklaracje od czynów, a czyny widzieć w kontekście stwarzanych możliwości. Gen. Beseler widział Polaków jako ludzi, których trzeba wychować politycznie. Ale w latach 1914–1918 Polacy pokazali, że politycznie są bardzo mądrzy. Przy całym szacunku dla Romana Dmowskiego i Józefa Piłsudskiego, zwłaszcza w perspektywie aktu 5 listopada i jego konsekwencji dla budowania państwa polskiego, trzeba także wspomnieć także profesorów Uniwersytetu Warszawskiego, studentów, nauczycieli wszystkich szczebli, sędziów, urzędników; to państwo, które na którego obszarze przeprowadzono wybory do sejmiku ustawodawczego w 1919 r., wywodziło się z dawnej Kongresówki i zachodniej Galicji. Ten rdzeń państwa nie wziął się znikąd.

Prof. Wojciech Roszkowski: Miało powstać państwko satelickie

Akt 5 listopada kojarzy mi się z pytaniem: „Czy w historii dzieje się to, co jest zaplanowane, czy tak jakoś wychodzi?”. I z 5 listopada 1916 r. mamy chyba ten dylemat. Faktem jest, że plany czegoś w rodzaju Mitteleuropy były formułowane znacznie wcześniej. Jednakże wydaje mi się, że akt 5 listopada, w takiej a nie innej postaci, był pokłosiem sytuacji z jesieni 1916 roku, gdy wyczerpywały się zasoby państw walczących, zwłaszcza państw centralnych – Austro-Węgier, Niemiec.

Niemal natychmiast po 5 listopada 1916 r. rozpoczął się nabór do wojska. I to był ten sygnał, że Niemcom tak naprawdę chodzi o pozyskanie „mięsa armatniego”. Polacy bardzo dobrze to zrozumieli. Przecież w akcie 5 listopada nie mamy zapisów o ustroju, granicach; zaznaczono, że będą tu decydowali dwaj cesarze. Tak więc z góry było wiadomo, że będzie to państwko satelickie. Nieudany pobór do wojska świadczy o dojrzałości społeczeństwa polskiego. I jego sceptycyzmie wobec planu zawartego w akcie 5 listopada.

Mam wrażenie, że Berlin wybierał swoją linię polityczną, znajdując się między dwiema skrajnościami. Niemcy prawdopodobnie chcieliby rzeczywiście nieść tutaj kulturę, germanizować, ale nie byli w stanie tego zrobić. Marzyła im się zapewne rozbudowa imperium, budowa państw buforowych, ale w pewnym momencie front nadmiernie im się rozciągnął. Dlatego też musieli pozyskiwać Polaków, kupować ich mglistymi obietnicami.

Temat konferencji jest bardzo dobrze sformułowany, bo jeśli obchodzimy stulecie niepodległości, to dobrze jest zacząć od aktu 5 listopada. On rzeczywiście był pierwszym krokiem, pokazującym, że zaborcy będą musieli w sprawie Polski coś zrobić. I dwaj cesarze niemieccy podjęli sprawę polską przeciwko drugiej stronie. I to jest coś nowego. Nazwałbym to licytacją o względy Polaków. Również druga strona podjęła licytację; jej wynik poznaliśmy ostatecznie 11 listopada 1918 roku.

Niemcy lawirowali między ekstremami. Chcieli rabować, a jednocześnie przyciągać Polaków. Wyszła z tego niekonsekwencja, która dała nam szansę budowania zrębów przyszłej państwowości. Zgadzałem się z przedmówcami, że kwestia armii była tu kluczowa. To, że Niemcom nie udało się przy pomocy Polaków stworzyć polskiej armii, która walczyłaby w interesie Niemiec, jest sukcesem polskiego społeczeństwa. To jeden z czynników, który do niepodległości doprowadził. Gdyby Polacy entuzjastycznie i naiwnie do tej inicjatywy się odnieśli, to może potem zabrakłoby młodych ludzi do budowania Polski. ©

—relację opracował Eukasz Lubański

WOJCIECH STANISŁAWSKI

Jesienią i zimą roku 1916 dokonywała się „licytacja wzwyż” sprawy polskiej i przywracanie decorum: barw narodowych, godła i pamięci o przeszłości.

AMARANTOWO-SZARY LISTOPAD

W lecie roku 1916 pewne było jedno: decydujący głos w sprawie polskiej ma Rzesza Niemiecka – a rozgrywka toczy się o to, na jakich warunkach Berlin eksploatować będzie gospodarczo okupowane tereny i sięgać po polskiego rekruta. Józef Piłsudski podniósł stawkę, podając się do dymisji. Opozycyjna wobec niego legionowa Rada Pułkowników zażądała w memoriale „uznania Legionów za Wojsko Polskie”, lekko szalony zagonczyk polityczny Władysław Studnicki już w maju złożył Niemcom propozycję odbudowania sojusznicy Polski z granicą na, bagatela, Dźwinie i Berezynie. Słowa „rząd Polski” i „niepodległość” wisiały w powietrzu: kto jednak miał podnosić stawkę i negocjować szczegóły czasowego bodaj kontraktu z Berlinem i wyraźnie już drugoplanowym Wiedniem?

Najpierw porozumieć się musieli sami zaborcy. Dopiero w sierpniu 1916 roku kanclerz Rzeszy Theobald Bethmann-Hollweg uzgodnił z szefem austro-węgierskiej dyplomacji Stephanem Burianem, że czas na pogrzebanie koncepcji „austro-polskiej”: będzie konstytucyjne – i satelickie wobec Berlina – Królestwo Polskie.

Rozpoczyna się gorączkowe poszukiwanie partnerów i współpracowników: pracują nad tym generał Hans von Beseler, czyli generalny gubernator ziem zajętych przez Niemców, i zapomniany dziś Bogdan Hutten-Czapski, doradca Wilhelma II, sam przedstawiający się jako „pochodzenia szlacheckiego, narodowości polskiej, obywatelstwa pruskiego, wyznania katolickiego, wychowania kosmopolitycznego, z przekonania liberała...” – chociaż księżna Maria Lubomirska, dama mściwa i wpływowa, autorka świetnych pamiętników, zapamiętała go jako „zastraszonego pruskiego dworaka”.

Aktywiści, działacze Naczelnego Komitetu Narodowego, ludzie Komendanta, narodowcy, PPS-owcy i działacze Polskiej Organizacji Wojskowej negocjują, spierają się i licytują. Wreszcie, po sekretnych rozmowach w Berlinie i Wiedniu z siedmioosobową delegacją polską, akt proklamujący niepodległość Polski jest gotów.

Początkowo zamierzano go ogłosić 2 listopada, w Dzień Zaduszny, na czas jednak uświadomiono sobie groźbę qui pro quo i ostatecznie dopiero w niedzielę 5 listopada 1916 roku ukazała się proklamacja dwóch cesarzy mówiąca o „powołaniu do życia samodzielnego państwa, Królestwa Polskiego”. Nieznane były jego granice, osoba przyszłego monarchy ani struktura władz; nie wiedziano, kto prowadzić będzie (to najbardziej zapalna wówczas kwestia) pobór rekruta.

Wiadomo było tylko, że ktoś musi sprawować rządy w kraju. Jaki będzie ich zakres, co uda się wyszarpać z kompetencji Beselera, czy zaczynać od dystrybucji żywności, czy od wyborów do Konstytuanty? W miesiąc po „Akcje 5 listopada” wydano rozporządzenie o powołaniu „organu emancypacyjnego i doradczego”: Tymczasowej Rady Stanu.

Rozpoczęła ona działalność w połowie stycznia roku 1917, gdy dwaj generalni gubernatorzy – Beseler i jego austriacki odpowiednik Karl Kuk – wręczyli nominacje 25 członkom obu obszarów okupacyjnych. Najważniejszy z nich – referent Wydziału Wojskowego Józef Piłsudski

– wystąpił z niej, po doprowadzeniu do „kryzysu przysięgowego”, już 2 lipca 1917 roku: trzy tygodnie później został internowany, TRS zaś gremialnie podała się do dymisji miesiąc później.

Czy zasługiwała na miano pierwszego polskiego rządu po 1863 roku? Historycy odmawiają jej tego miana, wskazując raczej na gabinet Jana Kucharzewskiego, powołany przez Radę Regencyjną w listopadzie 1917 roku. TRS działała wprawdzie jawnie, powstało w jej łonie osiem referatów, w tym Skarbu, Pracy, Oświecenia czy Sprawiedliwości – nie miała jednak ani możliwości ogarnięcia całości spraw państwa, ani bodaj takich ambicji, jakie żywił pół wieku wcześniej Rząd Narodowy.

Przez te pół roku z okładem istnienia Rady w jej cieniu dokonywała się jednak swoista – by przywołać skrzydlatą frazę Piłsudskiego – „licytacja wzwyż” sprawy polskiej i coś, co było jej istotnym elementem: przywracanie decorum: barw narodowych, godła i pamięci o polskiej

piaskiem, biega i woła »Nie to, tamto!« i widzę jej przerażenie, bo ktoś się właśnie z tym zalepionym oknem szamoce, nuż otworzy i piasek sygnie się na podłogę”.

Najpierw więc barwy narodowe – już nie tylko na manifestacjach, ale i na budynkach państwowych. „Na wieży strażnik odegrał hejnał – Niemcy na Zamku wywiesili biało-amarantowe chorągwie!” – opisuje księżna Lubomirska uroczystość proklamowania niepodległości 5 listopada. Bardziej przyziemnie? 9 grudnia Beseler powołuje Polską Krajową Radę Pożyczkową, która rozpoczyna emisję marki polskiej.

Walutę nazywano pobłażliwie „rzeszkami”, ale przetrwała do roku 1924. Gorzej, że nie cieszyła oczu: widniał na niej wprawdzie Orzeł Biały, ale narysowany przeszpetnie. Obelżywa fraza „polska gęś”, przypisywana zwykle już to działaczom SDKPiL, już to bolszewikom, pojawia się w tamtym czasie w pamiętnikach wielu patriotów zgorznych wizerunkiem marki.

12 grudnia wchodzą do stolicy Legiony: wprawdzie Druga Brygada pod wodzą gen. Stanisława Szeptyckiego, ale i tak witano je lepiej niż w roku 1914. „Malownicze czerwone wyłogi ułańskie wskrzeszały jakieś sny o Napoleonie, o dawnej sławie. Coś chwytalo za gardło” – to Lubomirska. „Fakt niespodziewany, opatrnościowy” – wtóruje jej Maria z Łubieńskich Górka. „Żołnierze byli zwarzeni, oficerowie – chmurni, publiczność – zdezorientowana. Wszystkich trawiła gorycz” – tyle widzi dziennikarz Stefan Krzywoszewski.

A i z orłem było nietęgo. „Przyszły mundury – donosi niebawem w liście rekrut Polskiej Siły Zbrojnej Emil Czerniawski – ale też jakie to mundury! Pruskie zgoła bluzy, czapki z orzelkiem dziwnego kształtu gołębia czy kuropatwy; taki sam na lewym rękawie bluzy, w miejscu, gdzie u Niemców znaczy się wojskowych rzemieślników. Cały mundur sprawia wrażenie kostiumu z jakiejś operetki narodowej”.

Już 11 sierpnia zrzucano tabliczki z nazwami ulic z nazwiskami czynowników carskich: to wtedy w miejsce ul. Berga narodziła się Traugutta. W listopadzie na stokach Cytadeli uczczono rozstrzelanych bojowców PPS, w tym Stefana Okrzeję; zniesiono pomnik generałów carskich tłumiących powstanie listopadowe, uczczono Kościuszkę, otwarto schronisko dla weteranów powstania styczniowego...

A w tle – chłodno i głodno. „Mróz nie ustaje, głód i bieda rosą, śmiertelność dzieci straszna. Niemcy zabierają resztki zboża i kartofli od chłopów, lasy tną i do Prus wywożą” – notuje Maria Górka, notabene matka Ludwika, członka TRS. „Poza bandyckim wyrębem lasów daje się spoznać celowe niszczenie przemysłu w Królestwie Polskim” – wtóruje jej druga Maria, Lubomirska, a trzecia, Dąbrowska, notuje 11 grudnia „śpiewaną teraz aktualną piosenkę”:

*Jeszcze Polska nie zginęła, póki my z Niemcami
Wywiozą nas do Berlina razem z kartoflami.
Marsz, marsz narodzie, o głodzie i chłodzie,
Za przewodem Beselera weźmie nas cholera.*

Bo taki to był czas: szaro-amarantowy.



WIKIPEDIA